

## **Jak dopadłem Olofa Palmego na Placu Feliksa Dzierżyńskiego**

Zadanie wydawało się ekstremalnie trudne. Dziennikarska obsługa „gospodarskiej wizyty” w Szczecinie premierów Olofa Palmego i Piotra Jaroszewicza. I to nie tylko na lokalną antenę, ale również dla głównego wydania wiadomości „Z kraju i ze świata” (Pr. I Polskiego Radia, g. 19.00).

Wprawdzie pracowało przy niej kilka osób z naszej rozgłośni oraz chmara polskich dziennikarzy z Warszawy, ale to na mnie padło radiowe zamknięcie tych odwiedzin stosowną relacją dźwiękową z oczywistą refleksją o rosnącym znaczeniu Polski, czego dowodem stawało się podpisanie umowy o współpracy gospodarczej między rządami Polski i królestwa Szwecji. Nie zajmowałem się wcześniej problematyką międzynarodową. Uprowadzony o czekającym zadaniu, śledziłem w telewizji przebieg wizyty. Obłożyłem się książkami, słuchałem relacji radiowych z dni poprzedzających przyjazd obu premierów do Szczecina, bo tu miała nastąpić ceremonia pożegnania szwedzkiej delegacji. Relacje moich kolegów z Katowic i z Łodzi zdawały się dość sztampowe; zgodne z nadrzędnym hasłem, że *Polska rośnie w siłę, a ludziom się żyje dostatniej*.

Szukałem nieco innej konwencji dla tej obowiązującej nowomowy, zwłaszcza gdy dowiedziałem się, ile dano mi w centrali czasu na dźwiękową relację. „*Panie kolego, poinformował mnie w przeddzień wydawca głównego wydania dziennika, minuta trzydzieści i ani sekundy więcej*”. Owszem, zdawało mi się, że jestem już mistrzem krótkiej formy, ale żeby aż tak krótkiej? Sprawozdawca z pierwszego dnia pobytu delegacji w Łodzi dostał minutę więcej, a koleżanka z Katowic następnego dnia – całe pięć minut! Wiadomo, Katowicom dawano wtedy więcej wszystkiego, niż innym regionom, nie tylko czasu antenowego, ale żeby tylko dziewięćdziesiąt sekund dla Szczecina...

Zatem musiało to być bezapelacyjnie coś ekstra, kombinowałem wpatrując się w ekran telewizyjny.

A tam obaj premierzy najpierw ze szwaczkami, później wśród górników, no i w Wilanowie, gdzie przy portrecie Marysienki małżonki premierów wymieniały poglądy o sarmackich zwyczajach. Panie, choć w dyplomatycznym ordynku, zdawały się na luzie. Z panami premierami było inaczej. Zwłaszcza z jednym z nich. Zapamiętałem sztywność premiera Piotra objawiającą się na każdym obrazku we wszystkich wydaniach telewizyjnych dzienników. Jego marsowa mina świadczyła o szczególnej odpowiedzialności za przebieg rozmów. Przy portrecie Sobieskiego zdawał się bardziej zdeterminowany i uważny, niż król Jan pod Wiedniem. Na twarzy Jaroszewicza odciskał się bowiem olbrzymi wysiłek, wszak dźwigał ciężar naszej rosnącej gospodarki, dziesiątej już potęgi przemysłowej świata.

W odróżnieniu od premiera Szwecji, która nie miała jeszcze takich sukcesów jak my. Olof Palme nadrabiał więc miną, nieustannie się uśmiechał, żartował nawet wciągając w tak niedyplomatyczne zachowanie równie uśmiechniętego przy nim tłumacza, który mi kogoś przypominał.

Tłumacz, kiedy zwracał się do polskiego premiera (przedstawiając mu przemysłenia gościa ze Szwecji), nabierał powagi i nieco drętwiał. Jakoś

znajomo. Cholera, czy my się nie znamy? – myślałem intensywnie obserwując aktorskie zdolności rządowego tłumacza.

4 kwietnia od rana biegałem za delegacją z magnetofonem na ramieniu i mikrofonem w dłoni. Rejestrowałem wszystko, nawet warkot motorówki, w której Jaroszewicz obwoził Palmego po szczecińskim porcie. I ich przemarsz z nabrzeża przy Jana z Kolna do gmachu Urzędu Wojewódzkiego na Wałach Chrobrego, gdzie wydawano dla szwedzkiej delegacji pożegnalny obiad. Zwłaszcza wart był uwiecznienia moment, w którym Jaroszewicz wyraźnie ożywiony przystanął przy grupie licealistów i zapytał: „*A jak tam chłopaki w szkole? Same piątki?*” „*Tak jest!* – wykrzyknął towarzyszący uczniom nauczyciel z właściwym refleksem – *wszyscy wspomagamy naszą ojczyznę!*” O! Ten fragment nagrania musi trafić do mojego archiwum, myślałem gnając do rozgłośni, by przegrać dorobek z całego dnia, wypić ze dwie kawy, zaciągnąć się papierosami stawić się w gotowości na Placu Feliksa Dzierżyńskiego przez Urzędem Miejskim. Prężyla się tam już kompania honorowa Wojska Polskiego i sporo obywateli gotowych wznosić właściwe okrzyki. Burczało mi w brzuchu, od rana nic nie jadłem, nie było kiedy. Przykucnąłem na schodach układając w myślach zdania do zakończenia mini reportażu z pobytu szwedzkiego premiera. Żołnierze z kompanii ćwiczebnie trzaskali obcasami, poczet sztandarowy pochylał i prostował sztandar. Robiło się coraz zimniej, jak to wieczorem w kwietniu, przed zapadnięciem zmroku.

Na plac podjechały z fasonem dwie rządowe czajki. „Kompaniaaaa!!!” – usłyszałem komendę dowodzącego oddziałem kapitana. Żołnierze prezentowali broń. Premierzy wysiadali z limuzyn, mistrz ceremonii prowadził ich na środek placu. Włączyłem mikrofon, by na tle odgłosów „dziania się” zacząć okolicznościowo sprawozdawać. I wtedy z czajki wygramolił się... Karol? No, przecież, to on. Znamy się, cholera. Premierzy szli już zwolna wzdłuż honorujących ich szeregów kompanii, a ja spontanicznie, intuicyjnie i głupio przecież, pognałem do tłumacza.

- Karol? – spytałem.

- Jak widać – odpowiedział.

- Poznajesz mnie? – wolałem się upewnić.

- Nie zapominam wybawicieli – zaśmiał się.

- To jesteś mi coś winien.

- Tutaj? Teraz? – chciał się upewnić.

- Natychmiast! – podkreśliłem.

- Jak to rozumieć? – nie ukrywał zdziwienia.

- Załatw mi wywiad z Palmem...

- Zwariowałeś! – przerwał wręcz przerażony żądaniem. –

Niemożliwe. Byłoby to pogwałcenie protokołu dyplomatycznego, niemożliwe...

- Karol – przerwałem, bo premierzy kończyli już swój przemarsz.

– Oglądałem relacje, widziałem jak Palme reaguje, śmieje się, żartuje z tobą.

Wydaje się gościem nieskrępowanym konwenansami, to normalny facet,

zrozumie, poproś go, Karol, jesteś mi coś winien.

Premier Jaroszewicz właśnie gotował się, by pożegnać dostojnego gościa i sztywno podawał na pożegnanie dłoni. Palme uśmiechał się szeroko, odwzajemnił żołnierski uścisk, uklonił się. Polski premier szedł w stronę swojej limuzyny, która – zgodnie z protokołem – winna pierwsza odjechać. Palme czekał na tłumacza. Karol blady i dziwnie zdeprimowany potrząsał nerwowo głową, ale podszedł i coś mu szeptał na ucho. Ten coraz bardziej zdumiony nagle zaczął się głośno śmiać. Karol wskazał na mnie, a Palme kiwnął dłonią i zawołał:

- Come!

Zadałem tylko dwa pytania, tłumaczone przez Karola, a uzyskałem intrygujące rządowe podsumowanie wizyty szwedzkiego premiera w Polsce, zamknięte w dziewiętnastu minutach wypowiedzi nietuzinkowego polityka. Stałem na zdrętwiałych nogach, wyciągniętej na pożegnanie dłoni Palmego omal nie ucałowałem, ale on w porę uwolnił się z mojego uchwytu. Pojechali.

Gnałem do rozgłośni. A za mną podążało kilku znaczących dziennikarzy, w tym zarozumiałcy z PAP-a. Nie wiem, co myśleli, ale to mnie premier Szwecji udzielił wywiadu, który następnie cytowano w polskich i zagranicznych dziennikach. Musiałem udostępnić to nagranie, ale z zastrzeżeniem, że pierwsza publikacja znajdzie się wpierw w głównym wydaniu „Z kraju i ze świata”. W Warszawskiej redakcji redaktor Szof, gdy mu zakomunikowałem, że moja miniatura dźwiękowa ma 21 minut, najpierw oszalał („Panie kolego, cholera!, całe wydanie dziennika muszę zmieścić w dwudziestu minutach, a pan mi tu taki numer wykręca?”) Zaproponowałem, żeby osobiście dokonał skrótów Palmego, ale się nie odważył i 4 kwietnia 1974 roku „Z kraju i ze świata” donosiło głównie za Szczecina, plus jakie tam dyrdymały ze stolicy Kraju Rad i bodaj z Hawany. Zaraz po wysłuchaniu „swojej miniatury” poszedłem do Muz. Byłem królem!

Aha! Skąd znajomość z Karolem? Dawne dzieje... Poratowałem go w 1968 roku po powrocie ze studiów językowych w Szwecji, załatwiłem też ekstra pracę i nie biłem się z nim o dziewczynę, którą porwał i wywiózł do Warszawy. Pamięci jednak nie stracił, odwdzieczył się i to jeszcze jak.

W dzień po „rozbiciu banku”, szef szczecińskiej rozgłośni, Zbigniew Puchalski, przyznał mi nagrodę pieniężną (całe 500 złotych) i ostatecznie zatwierdził awans na kierownika Redakcji PI.

Zbigniew Kosiorowski